

Arkadiusz MINKIEWICZ

Centralny Ośrodek Szkolenia Straży Granicznej

im. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego – Koszalin

CO ROBIŁEM PODCZAS EURO 2012

„**EURO 2012**” – każdy ma jakieś wspomnienia z tym związane. Dla jednych to piwo i mecze, dla innych nowe, ale krótkie autostrady. Dla mnie to „**EUROCUP 2012**” i „**FRONTEX**”.

Co to w ogóle jest „**FRONTEX**”? *Europejska Agencja Zarządzania Współpracą Operacyjną Na Zewnętrznych Granicach Państw Członkowskich Unii Europejskiej*. Tyle jeśli chodzi o definicję: resztę można sobie doczytać w Internecie, jeśli ktoś jest zainteresowany. Ja opiszę tu swoje spostrzeżenia, może nie tyle dotyczące samego Frontexu, co bardziej operacji koordynowanej przez wspomnianą Agencję: „**EUROCUP 2012**”.

Do tej pory miałem mgliste pojęcie o tym, co kryje się pod nazwą „Frontex”. Ot, kolejna instytucja dysponująca europejskim budżetem. Teraz wiem więcej, a przynajmniej wystarczająco. Wiem, bo miałem zaszczyt uczestniczyć w operacji „**EUROCUP 2012**”, do której zostałem wyznaczony przez moich przełożonych.

Po kilkumiesięcznych przygotowaniach pojechałem „na wschód” – jak większość kolegów i koleżanek z COSSG – z tym, że ja z „Frontexu” z misją wzmocnienia bezpieczeństwa granic zewnętrznych UE podczas trwania „**EURO 2012**”.

Trochę skróciłem, ale oczywiście tak łatwo nie było. Zanim cokolwiek się dowiedziałem, musiałem ustalić „czym jadę?, gdzie nocuję?, co jem?, jak się rozliczam i z kim?”: służbowe telefony i faksy „paliły się” i terkotały. W końcu po zdobyciu minimum niezbędnych informacji: pojechałem.

PSG Hrubieszów w NOSG – bo właśnie tam miałem swój przydział służbowy na czas trwania EURO 2012 – to bardzo nowoczesna, spełniająca najwyższe standardy europejskie placówka graniczna. Ładne i nowe budynki, lądowisko i hangar dla helikoptera, kryta strzelnica, po prostu: „Europa”.

Po dotarciu do celu w pierwszej kolejności zdałem broń i sprzęt u Kierownika Zmiany i udałem się na spoczynek do hotelu „Kasieńka”

w Hrubieszowie, gdzie zostałem zakwaterowany przez „Frontex”. Tu poznałem nowych kolegów, z którymi miałem przez najbliższy miesiąc dzielić zarówno pełnione na granicy służby, jak i czas prywatny. Byli to: Uros (czyt. *Urosz*) ze Słowenii i Laslo (czyt. *Laszlo*) z Węgier.

Operacja „EUROCUP 2012” rozpoczęła się następnego dnia. W Placówce powitał nas kpt. SG Mariusz KULCZYŃSKI – Komendant tej jednostki organizacyjnej Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej. W pierwszej kolejności miałem przyjemność uczestniczyć w zorganizowanej wideokonferencji z Komendantem NOSG i pozostałymi Placówkami leżącymi w terytorialnym zasięgu działania Oddziału, które również gościły przedstawicieli służb mundurowych różnych państw europejskich w ramach akcji „EUROCUP 2012”.

Po konferencji: odprawa w Placówce, zapoznanie z charakterystyką ochranianego odcinka granicy państwowej, specyfiką i formami pełnienia służby oraz zapoznanie z grafiką pełnienia służb.

Do wykonywania obowiązków służbowych planowany byłem jako tzw. *drugi* (ubezpieczenie) wraz z wcześniej wspomnianymi kolegami ze Słowenii i Węgier. Ze względów logistycznych i praktycznych planowano nam służby ośmiogodzinne, oczywiście w różnej porze doby. Zwyczaj był to patrol samochodem połączony ze wsparciem kontrolerów w przejściu granicznym w Zosinie, ale trafiały się również służby polegające na patrolowaniu pieszym ochranianego odcinka granicy. Na przejściu często współpracowaliśmy z Urzędem Celnym w wykrywaniu przestępstw związanych z przemytem towarów bez polskich znaków akcyzy. Oni podpatrywali naszą pracę, my ich.

Szczególnie ciekawe były służby z moim słoweńskim kolegą – u siebie w kraju jest uznanym ekspertem w wykrywaniu kradzionych pojazdów. Warto nadmienić także, że specjalizował się w szczególności w pojazdach marki AUDI i BMW. Patrząc na jego pracę można było się naprawdę wiele nauczyć, jednakże nie jest to temat do publikacji.

Podczas służby dokonywaliśmy również kontroli drogowej, legitymowania, kontroli znaków granicznych, wykrywania śladów przekraczania granicy wbrew przepisom prawa. Czyli zwykła codzienna rzeczywistość na granicy.

Jako ciekawostkę wspomnę o Andrzeju. Andrzej to najlepiej znany „funkcjonariusz celny” w Hrubieszowie i w okolicy – piękny czarny labrador wyszkolony do wykrywania wyrobów tytoniowych. Zaryzykowałbym żartobliwie stwierdzenie, że gdy Andrzej rozpoczynał służbę, ruch na przejściu zamierał. Często obserwowaliśmy jak pracują pies i jego przewodnik. Przed tą dwójką nie ukryła się żadna nadliczbowa paczka

papierosów! Nie pomagały wymyślne skrytki, przerabianie samochodu, pakowanie nielegalnie przemyconych wyrobów bez polskich znaków akcyzy w torebki foliowe ani okładanie ich przeróżnymi substancjami zapachowymi. Nos Andrzeja nigdy nie zawodził, a przewodnik potrafił świetnie odczytać reakcje swojego wiernego towarzysza. Obaj z wielkim zaangażowaniem wykonywali codzienne obowiązki służbowe: czego ludzie oko nie zobaczyło, nos psa wyczuł!

Zarówno na służbie jak i po, większość czasu spędzałem wspólnie z Urosem i Laslo. Wymienialiśmy informacje i poglądy na tematy służbowe i prywatne. Opowiadaliśmy sobie i porównywaliśmy, jak wygląda praca w poszczególnych krajach i kto się czym zajmuje.

Zarówno na Słowenii jak i Węgrzech nie ma wyodrębnionych służb do ochrony granic. Wszystkie zadania z tym związane wykonuje jedna formacja mundurowa: Policja. Formy służb związanych z ochroną granic są bardzo podobne do zadań polskiej Straży Granicznej. Specyfika pracy i służby jest niemal identyczna, za to znaczną różnicę zauważyłem w zarobkach. I tu niestety wypadamy bardzo marnie i zajmujemy dość daleką lokatę. Okazało się, że zarabiam ok. 40% mniej niż koledzy. Jak dla mnie: wystarczy tych różnic.

Czas pozasłużbowy mieliśmy zorganizowany równie profesjonalnie jak grafik służb. Dużo rozmawialiśmy wymieniając swoje spostrzeżenia związane przede wszystkim z wykonywaną na co dzień pracą, jednakże znajdowaliśmy również czas na kwestie prywatne: związane z domem, rodziną, zainteresowaniami. Po prostu: wzajemnie się poznawaliśmy.

Osobiście najbardziej ciekawiły mnie wszystkie kwestie związane z pracą moich zagranicznych kolegów. Z racji osobistych preferencji najistotniejsze dla mnie było poznanie wykonywania niektórych czynności związanych z pełnieniem służby oraz zasadami pobierania i zdejmowania broni. Stałem się wychwycić różnice dzielące podejście przy wykonywaniu tych czynności służbowych w Polsce i np. na Słowenii.

Zgodnie z polskimi przepisami ładowanie i rozładowywanie broni przed i po służbie odbywa się pod nadzorem KZ (Kierownika Zmiany). W praktyce wszyscy wiemy, jak się to odbywa. A mianowicie:

- pobieram broń,
- udaję się do wyznaczonego miejsca,
- stoję i czekam na Kierownika Zmiany, pod którego nadzorem będę ładował i sprawdzał swoją broń.

W dalszej kolejności podchodzi KZ, nadzoruje, patrzy, spogląda czujnym okiem, co i jak robię.

Całej tej procedurze przez kilka pierwszych służb z uwagą przyglądał się Uros. Po kilku dniach zapytał mnie: – *A ten facet tak za każdym razem będzie przychodził i patrzył co robisz?* – *No pewnie* – odpowiedziałem, bo to dla mnie oczywiste jak $2 \times 2 = 4$. Mało tego: przecież „on”, tzn. „ten facet” nadzoruje wszystkich idących do służby z bronią polskich funkcjonariuszy SG! – *Ale po co?* – drażył temat Uros. – *Jak to po co? Dla mojego bezpieczeństwa!*

Nie lubię być dłużny, więc zapytałem Urosa: – *A jak wy to u siebie robicie?* Żartobliwie można powiedzieć, że odpowiedź padła – NIJAK! A to dlatego, że każdy funkcjonariusz słoweńskiej Policji – tak jak funkcjonariusz polskiej SG – ma przydzieloną do swojej dyspozycji broń służbową, wie co należy do jego obowiązków, wie, że ponosi odpowiedzialność za swoje czyny, za to jak przygotowuje się do służby, i jak ją pełni, w tym także za użycie broni w służbie i poza nią. Jadąc do pracy bierze z sejfiku w domu swój pistolet. Po służbie broń wraca na swoje miejsce w domowym sejfie. Proste. A jeżeli coś się wydarzy to pociąga się do odpowiedzialności funkcjonariusza, karze się go lub nagradza według obowiązujących przepisów.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad obowiązującymi w Polsce procedurami związanymi z ładowaniem broni przed służbą. Wykonywałem je automatycznie. Ale gdy padło pytanie, zacząłem myśleć i rozważać, czy odpowiedź powinna brzmieć – *Bo tak mówi przepis?* W założeniach ustawodawcy: dla bezpieczeństwa zarówno mojego, jak i kolegów idących ze mną do służby. Ale, czy procedura nadzoru przy ładowaniu broni naprawdę podwyższa bezpieczeństwo? Nie wiem. W innych krajach robi się to bez nadzoru: nie słyszałem, by odsetek wypadków przy tej czynności był wyższy niż w Polsce. Być może warto pochylić się uważnie nad ww. procedurami.

Ze służby na służbę dowiadywałem się więcej, a im więcej wiedziałem, tym lepiej się czułem, bo tak naprawdę jakichś wielkich różnic pomiędzy naszymi krajami nie ma. Każdy chce jak najlepiej wykonywać swoją pracę, a przestępczość graniczna na całym świecie ma podobny charakter, tym samym metody przeciwdziałania temu zjawisku są również do siebie podobne.

30 dni na wschodniej granicy upłynęło bardzo szybko. Czy warto było pojechać do Hrubieszowa? Oczywiście: poznałem nowych i przesympatycznych ludzi, zdobyłem kolejne doświadczenie na granicy oraz wiedzę bardzo przydatną na co dzień w mojej pracy, zwiedziłem niezna-

ny mi rejon Polski. Same plusy. Z czystym sumieniem mogę powiedzieć: wiem, bo widziałem, a nie: wiem, bo słyszałem.

Nie warto było, bo... hmm... nic nie przyszło mi do głowy.

Bardzo dziękuję Komendantowi PSG w Hrubieszowie kpt. SG Mariuszowi KULCZYŃSKIEMU: za gościnę, za profesjonalne służbowe a także „ludzkie” podejście.

Dziękuję st. chor. SG Markowi KRUKOWI za opiekę nad wszystkimi „frontexami”.

Dziękuję również moim przełożonym: dzięki nim mój wyjazd „na wschód” doszedł do skutku. Za pomoc dziękuję również mjr. SG Tomaszowi SIEKOWI.

I – poza protokołem – dziękuję oczywiście Dyrekcji i obsłudze hotelu „Kasieńka”: spędziłem w nim niezapomniane 30 dni.



Od lewej: Autor artykułu, Uros, Laslo. Fot. ze zbiorów Autora.